

CYKL Z NADKOMISARZEM ZAKRZEWSKIM

Mieczysław  
**GORZKA**

**OSTATNI  
ŚWIT**



BUKOWY LAS



## POCZĄTEK

Słońce pokazało już całą swoją twarz nad wschodnim horyzontem. Jego promienie zatańczyły w kroplach zimnej rosy gromadzących się na liściach osnutych poranną mgłą. Wstawał piękny świt.

Dziewczyna biegła. Na oślep, byle przed siebie, przedzierała się przez leśne zarośla jak spłoszona łania, czując za sobą zbliżanie się watahy wygłodniałych wilków.

To było polowanie z nagonką i ona już to wiedziała. Zrozumiała, co się dzieje, kiedy po raz pierwszy skręciła w bok i zaraz potem natknęła się na ponurego mężczyznę z wilczurem na smyczy. Pies wyglądał jak owładnięta obłędem bestia, tylko czekająca na okazję, żeby zatopić w niej swoje kły, a potem rozszarpać gardło. Omal nie zemdliała z przerażenia. Odwróciła się i zaczęła uciekać w przeciwną stronę. Niedługo potem usłyszała gdzieś z boku trzask gałęzi, następnie odgłos wystrzału, świst i gorący podmuch tuż obok głowy. Nie od razu zrozumiała, że strzelają do niej. Wtedy zerwała się do ostatniego biegu, resztką sił, jak łania ścigana przez wilki.

Szczekanie psów stawało się głośniejsze. Musiały być co najmniej dwa, z tyłu z obu stron, zbliżały się do niej nieubłaganie, ograniczały jej kierunek ucieczki, naprowadzały na zaczajonego gdzieś przed nią myśliwego. Była pewna, że tak jest. Resztki zdrowego rozsądku, wybijające się na powierzchnię paniki

i śmiertelnego przerażenia, odpowiadały jej, że tak właśnie jest. W każdej chwili mogła wbiec prosto pod lufę. Musiała walczyć, zrobić coś szalonego, nieprzewidywalnego, inaczej zaraz stanie się trofeum myśliwego-psychopaty, polującego nie na zwierzęta, ale na ludzi. Czy istnieją psychopaci, dla których takie polowanie byłoby rozrywką? Na pewno istnieją. Obrzydliwie bogaci podstarzali mężczyźni z brzuszkiem, którzy w życiu próbowali już wszystkiego, w tym nielegalnych polowań na sawannie na nosorożce albo na słonie, czy też niedźwiedzie grizzly w Górach Skalistych. Nie polowali tylko na ludzi, więc gotowi byli zapłacić dużo za taką przygodę. A tam, gdzie jest popyt, natychmiast pojawia się podaż. I dlatego ona tu jest. Zwabiona na niewinne biznesowe spotkanie, otumaniona narkotykami i porwana, a potem porzucona w tym lesie gdzieś na krańcu świata, na pastwę nagonki i bezwzględnych myśliwych. Musi walczyć, inaczej zginie.

Tylko nie miała już sił, żeby walczyć. Potknęła się i upadła na pachnącą, wilgotną leśną ściółkę, płakała, a płynące po jej twarzy łzy mieszały się z krwią sączącą się z zadrapań na policzkach i rany na czole, która pojawiła się nie wiadomo kiedy. Nie miała już siły. Pogodzona z losem, bezbronna ofiara wczłgała się za zmurszały ze starości zwalony pień wielkiego drzewa i zastygła w pozycji embrionalnej, drżąc na całym ciele. Szczekanie i warczenie psów z nagonki było coraz bliżej, słyszała już trzask łamanych gałęzi i ciężkie kroki naganiaczy, ich sapanie i zduszone przekleństwa sączące się z ust. Za chwilę psy ją dopadną i zatopią w niej swoje kły. I wtedy już nie będzie ratunku. Ale wolała zginąć z kłami na gardle, niż dać satysfakcję zwyrodnialcom ze sztucerami. Nie da zrobić z siebie trofeum na ścianę, nie da się upodlić i odczłowieczyć. Zacisnęła mocno powieki i wstrzymała oddech. Odgłosy nagonki były tuż obok, a potem oddaliły się i przycichły. Ominęli ją. W ferworze pogoni psy zgubiły na chwilę jej trop, zdekoncentrowały się i pociągnęły nagonkę dalej.

Nagle poczuła wstępującą w jej serce nadzieję, a wraz z nią nowe siły. Może jeszcze jest jednak szansa na ucieczkę, może zdoła się wyrwać z tej matni. Musi tylko dotrzeć do ludzkich siedzib, do drogi, znaleźć kogoś, kto zdoła jej pomóc. Ostrożnie wstała. Nogi jej się trzęsły i musiała się przytrzymać pnia drzewa. Nasłuchiwała odgłosów oddalającej się nagonki. To jedyna szansa. Nie wiedziała, gdzie jest, nie miała pojęcia, w którą stronę uciekać. Wiedziała tylko jedno: ten pieprzony las musi się gdzieś kończyć, i to jest w tej chwili jej jedyna szansa. Spojrzała jeszcze w skryte za drzewami słońce, jakby prosząc o wskazanie właściwej drogi, po czym zaczęła biec na zachód.

Przez pierwszych dwieście metrów słyszała tylko swój przyspieszony oddech i pulsowanie krwi w skroniach w rytm szybkich uderzeń serca. Gałęzie tłukły ją po twarzy, potykała się o zbutwiałe konary, stopy zapadały się w grubą warstwę mchu pośród wysokich traw, lecz ona nie zwracała na to uwagi. Starała się mieć ciągle słońce za plecami, żeby nie zgubić kierunku i niepotrzebnie nie błędzić. To zmuszało ją do częstego zwalniania i oglądania się za siebie, ponieważ kluczyła między drzewami i zaroślami, ciągle szukając lepszej drogi. Na razie było dobrze, niczego nie słyszała.

Po następnych stu metrach szczekanie psa w oddali zmroziło jej serce. Zorientowali się, że coś jest nie tak, psy chwyciły nowy trop i pogoń ruszyła. Była głupia, robiąc sobie niepotrzebną nadzieję. Psów nie da się tak łatwo oszukać, zawsze znajdą trop, to właśnie jest ich zaleta, a czasem przekleństwo, jak teraz. Starała się jeszcze przyspieszyć, lecz była coraz bardziej wyczerpana. Nagonka stała się głośniejsza. Już niedługo ją dopadną, to tylko kwestia minuty, może kilku minut, ale ją dopadną. Nie ma szans na ucieczkę. Zwątpienie wkradło się w jej serce i zwolniła. Niech to wszystko już się skończy. Może jednak nie w psich paszczach. Lepiej już niech zjawi się ten myśliwy i zakończy jej życie strzałem ze sztucera w głowę. Jak do dzikiego zwierzęcia. Do łani, sarny,

kłepy, a teraz do niej. Kim oni byli? Tak zachowywali się tylko faszysty w obozach koncentracyjnych Trzeciej Rzeszy. Teraz nikt nie poluje na ludzi. A jednak, fakty przeczyły tym rozpaczliwym myślom przemykającym przez głowę.

Nagle las się zmienił. Grube dęby i buki się skończyły i dziewczyna znalazła się pośród rzadkich sosen. Po kilkunastu kolejnych krokach stopy ugrzęzły jej w wysokiej trawie i zatrzymała się raptownie na brzegu niewielkiej rzeczki. Cztery, pięć metrów szerokości, strome brzegi, dla niej nie do pokonania. Poczowała ogarniającą ją falę rozpacz. Dlaczego wybrała ten kierunek? Za plecami szczekały psy, słyszała przekleństwa oprawców z nagonki. Nieuchronnie się zbliżali. Spanikowana zapatrzyła się w bystry nurt rzeczki. Brzegi były zarośnięte wysoką wodną roślinnością, przejrzysta woda o lekkim brązowym zabarwieniu płynęła bystro. Przy brzegach dostrzegła falujące wodorosty, lecz im bliżej środka, tym nurt stawał się czystszy.

Przypomniała sobie filmy oglądane w dzieciństwie. Żeby zmylić psy, uciekinier zawsze wchodził do rzeki i starał się przejść jak najdalej. Psy nad wodą traciły trop. Nie wahając się ani sekundy, ześlizgnęła się ze stromego brzegu i z pluskiem wpadła do zimnej o poranku wody. Przez kilka sekund się szamotała, zaplątana w wodorosty, lecz po chwili była już na środku i dała się ponieść bystremu nurtowi. Pływała bardzo dobrze, z wolna się rozpędzała, a potem widziała tylko umykające szybko brzegi. Odgłosy nagonki znowu zaczęły się oddalać.

Po kilku sekundach uderzyła w coś boleśnie tyłem głowy. Aż pociemniało jej w oczach i napiła się wody o posmaku stęchlizny. W poprzek rzeczki leżał spory pień zwalonego drzewa. Z trudem wspięła się na niego i weszła do wody po drugiej stronie. Musi patrzeć, dokąd płynie, bo to też się dla niej źle skończy.

Zaczęła płynąć. Było płytko, więc czasem odbijała się stopami od mulistego dna. Ale płynęła, szybko oddalała się od pościgu.

Niczego już nie słyszała prócz łomotania pulsu w uszach i kojącego pluskania wody.

Płynęła tak długo, jak tylko mogła. W końcu zdrętwiała z zimna i straciła czucie w rękach i nogach. Równocześnie rzeczka się zmieniła. Nurt zwolnił, brzegi się obniżyły i rozstały, woda stała się tylko kilkumetrowej szerokości kreską pośród zgniłej roślinności, by ostatecznie przeistoczyć się w bagnisko.

Z trudem wypęzła na brzeg i upadła. Dygotała z zimna. Dopiero świtało, chłód nocy nie zdążył się rozproszyć, było wilgotno i między drzewami przelewała się blada mgła. Żeby się rozgrzać, musi się ruszyć. Musi znowu zacząć biec, żeby ten świt nie był jednak jej ostatnim świtem. Z trudem wstała na nogi i zataczając się, pobiegła, tym razem na północ, ponieważ zachodni kierunek zablokowało jej bagno. Po chwili znowu zrobiło się sucho, a po kolejnych kilku minutach potknęła się i upadła. Kolana ugrzęzły w piachu, ale dłonie oparły się na czymś twardym. Nie od razu zrozumiała. Leśna droga! Zerwała się i rozejrzała. To nie dukt biegnący wśród drzew dla leśniczego i pracowników leśnych. To była normalna polna droga, po której dziennie przejeżdża wiele samochodów w obu kierunkach. Może nawet łączyła jakieś wioski?

Z nową nadzieją w sercu ruszyła przed siebie, byle dalej od prześladowców. Po chwili zatrzymała się i słuchała uważnie. Mimo wczesnej pory nadjeżdżał samochód. Gdzieś z przodu. Przyspieszyła. Parę sekund później czerwone auto wynurzyło się zza zakrętu kilkanaście metrów od niej. Zebrała ostatnie siły i wybiegła mu naprzeciw, machając rękami. Chciała krzyknąć, lecz z gardła wydobył się tylko szept:

– Ratunku! Pomocy!

Kierowca zatrzymał auto parę metrów przed nią, otworzył drzwi i wysiadł. Był to mężczyzna ubrany w wytarte dżinsy i nie pierwszej czystości flanelową koszulę w czarno-czerwonej kratce, narzuconą na czarną koszulkę. Patrzył na nią z nieodgadniętym

wyrazem twarzy. Tuż przed nim nagle zabrakło jej sił. Upadła na kolana i zakręciło jej się w głowie.

– Proszę mi pomóc – powiedziała już głośniejszym głosem. – Chcą mnie zabić!

– Kto? – Miał dziwnie spokojny głos.

– Porwali mnie, gonili z psami, chcieli zabić! – krzyczała gorączkowo. – Proszę wezwać policję!

– Dobrze się pani czuje?

Stał nad nią, przysłaniając swoją sylwetką słońce. Spojrzała na niego z nagłym przestraszaniem. W jego głosie było coś dziwnego. Kpina? Po raz pierwszy pomyślała, że nieznajomy wcale nie musi być wybawieniem. A jeśli jest jednym z jej prześladowców? Jeszcze raz na niego spojrzała i jej usta rozchyliły się w niemym okrzyku śmiertelnego przerażenia.



Część pierwsza

# UPIORY NA OBRAZACH



CZERWIEC 1993

Remigiusz Nycz wysunął się spod samochodu i zmrużył powieki, kiedy słońce spojrzało mu prosto w twarz. Od kilku dni grzało jak cholera, w końcu lada moment zacznie się kalendarzowe lato. Klnąc, wstał, pogrzebał w kieszeni poplamionych smarem spodni i wyjął paczkę carmenów. Dopiero teraz zobaczył, że dłonie ma jeszcze brudniejsze niż spodnie. Nagimnastykował się, zanim długi, biały papieros znalazł się wreszcie między jego wargami. Zaciągał się dymem z wyraźną przyjemnością. Za komuny nigdy nie palił tych markowych fajek, bo miały filtr i kosztowały krocie. Nie dla klasy robotniczej, do której on się wtedy zaliczał. Teraz było inaczej. Szef był z niego zadowolony i któregoś dnia dał mu cały karton takich fajek z datą produkcji sprzed trzech lat. A Remigiusz się w nich rozsmakował.

Oparł się o maskę czarnego mercedesa 500e i palił, zapatrzony na szumiący po drugiej stronie polany las. Uwielbiał to auto. Od dzieciństwa fascynowały go samochody, pierwszy raz trafił do aresztu za nielegalną przejażdżkę dużym fiatem sąsiada. Pamiętał, że czuł się panem świata, kiedy pozioma kreska prędkościomierza przekroczyła liczbę 100. No a potem już poszło. Jeździł w rajdach, ścigał się z Bublewiczem, Krupą i jeszcze wieloma innymi znanymi wtedy kierowcami, aż przyszły czasy przekształcenia niesłusznej gospodarki socjalistycznej w jedynie słuszną kapitalistyczną i wszystko się skończyło.

Stracił pracę, trochę za dużo popijał, ale na szczęście pamiętał go jeden z dawnych kolegów z tras rajdowych i poleciał do tej roboty. Został kierowcą i trochę ochroniarzem faceta o ksywce „Orzeł”. Nigdy nie pytał go o prawdziwe nazwisko, raz tylko słyszał, jak jeden z kontrahentów szefa zwrócił się do niego po imieniu. Sławek. Ale Nycz zaraz o tym zapomniał. Jeśli szef kazał mówić do siebie „Orzeł”, to tak miało być.

W gruncie rzeczy Remigiusz bał się szefa. Nigdy nie spotkał człowieka o tak niehumanitarnej twarzy. Prawdziwa teatralna maska, po której przepływały różne uczucia, jednak żadne nie wydawało się szczere i prawdziwe. Do tego oczy jak u rekina – nieruchome, czarne, puste w środku, jakby nie było w nich żadnych emocji. Tak naprawdę nie wiedział, czym Orzeł się zajmuje. Jeździli po kraju i głównie przewozili gotówkę. Dwaj goryle z obstawy Orła często pakowali do bagażnika worki pełne amerykańskich dolarów, niemieckich marek i złotych. Czasem te worki komuś przekazywali na leśnych parkingach. Nycz myślał, że za taką gotówkę można było założyć bank albo wykupić wielkie upadające zakłady przemysłowe, będące kiedyś chlubą peerelu, a teraz dogorywające, przestarzałe i warte tyle co zgromadzony w halach złom. Nie przeszkadzało mu to aż do tamtego poranka kilka dni temu. Goryle wpakowali do bagażnika przestraszonego chudzielca i razem wywieźli go do lasu. Kiedy zniknęli na chwilę za drzewami, Orzeł popatrzył na Remigiusza tym swoim zimnym i pustym spojrzeniem, a potem wyjaśnił, że facet wisi mu kupę pieniędzy i chcą go tylko postraszyć. Kilka minut później goryle wrócili bez niego. Nycz nie był bandytą, a tym bardziej nie chciał być zamieszany w morderstwo, dlatego obleciał go strach. Dopóki wozili pieniądze, wszystko było w porządku, ale jeśli raz zdarzyła się taka historia, on już nie chciał brać w tym udziału. Tym bardziej że jak był jeden trup, pewnie będą następne. Taka kolej rzeczy – kiedy przekraczane są nieprzekraczalne granice, wszystko zmienia

perspektywę i wiele bardzo złych rzeczy staje się codziennością. On nie chciał już w tym uczestniczyć.

Tak naprawdę uciekłby od razu, gdyby nie zakochał się w aucie. Roczny mercedes 500e był dla niego jak ósmy cud świata. Czarny, o eleganckich kształtach, doskonałych proporcjach, z silnikiem diesla mruczącym niczym kot, kiedy się go dłużej głaszcze. Wydawać by się mogło, że był delikatny, jednak kiedy Nycz na trasie wciskał gaz, budziła się w nim bestia. Zamieniał się w ważący prawie dwie tony samochód rajdowy, który dawał się prowadzić jak dziecko na spacerze po parku. Lekko i z wielką przyjemnością. Niemcy potrafili budować auta. To dlatego Remigiusz jeszcze nie uciekł od Orła. Przez auto, no i oczywiście przez Niemców.

Szef już na samym początku wyjaśnił mu, że mercedes został skradziony w Berlinie Zachodnim. Dlatego ciągle był jeszcze na niemieckich blachach, a w skrytce leżał dowód rejestracyjny na nazwisko Herman Ditrich. Orzeł śmiał się, że w razie kontroli policyjnej mają mówić, że to on nazywa się Herman Ditrich i jest Niemcem. Mówił po niemiecku, więc dalej poradzi sobie sam, bo przecież te tumany z policji nie znają żadnych języków prócz ojczystego w stopniu podstawowym. To niby miał być żart, jednak Remigiusz po pewnym czasie zaczął się zastanawiać, czy na pewno. Może Orzeł właśnie tak się nazywał, kiedy był w Niemczech? Tylko co tam robił? Góry pieniędzy i podejrzane interesy kojarzyły mu się z jednym – komunistyczne służby specjalne. Zresztą Orzeł nie ukrywał, że za komuny pracował w wywiadzie i znał kilka obcych języków. Tylko po co teraz jeździł po kraju z gotówką, zamiast siedzieć spokojnie za biurkiem i prowadzić legalne biznesy? Czy byli funkcjonariusze różnych służb, którzy, odkąd zmieniła się władza, popadli w niełaszkę, mościli sobie w nowym ustroju jakieś ciepłe i bezpieczne posadki i biznesy? Im dłużej nad tym myślał, tym bardziej uznawał taką opcję za wielce prawdopodobną.

Teraz zgasił papierosa i się rozejrzał. Chciał wymienić klocki hamulcowe na oryginalne, które załatwił szef nie wiadomo skąd. Tylko zabrakło mu narzędzi. Ich bazą wypadową było dawne gospodarstwo na Kaszubach, niedaleko Bytowa, z dala od głównej drogi. Jeszcze niedawno była tu dziupla, gdzie wieśniaki z pobliskiej wsi rozkręcały na części jumane bryki z Zachodu. Kiedy Nycz pierwszego dnia zobaczył, jak to robią, serce od razu zaczęło mu krwawić. Nowych modeli audi nie rozbiera się na części, używając młotka i przecinaka. Wspominał o tym szefowi i następnego dnia towarzystwo zaczęło się zwijać, patrząc na nich wrogo. Wszystkie wraki aut wywieźli w trzy dni i słuch po nich zaginął. Niestety, wraz z nimi zniknęła skrzynka z narzędziami należąca do Remigiusza. I teraz miał problem z odkręceniem jednej śruby. Wytarł dłonie w szmatę i poszedł szukać czegokolwiek, dzięki czemu mógłby zmierzyć się ze śrubami.

Cała posesja była otoczona wysokim płotem, postawionym pewnie zaraz po tym, jak trafiły tu pierwsze kradzione auta. Nie wielki budynek mieszkalny był wyremontowany, wyglądał ładnie w środku, niczego w nim nie brakowało, dlatego często przyjeżdżali tu na kilka dni w przerwie między wyjazdami do różnych miejsc w kraju. Czasem Orzeł gdzieś znikał, nie tłumacząc im gdzie, a oni czekali na niego cierpliwie, pijąc markową whisky i zagryzając kielbaskami z grilla, podczas gdy wokoło szumiał las i śpiewały ptaszki. Życie nie umierać. Akurat teraz Orzeł wyjechał dokądś z goryłami starym audi. Nie powiedział Nyczowi, kiedy wróci, kazał mu tylko zająć się autem. Nie trzeba było dwa razy powtarzać. Mercedes był wypucowany, jakby dopiero wyjechał z salonu. Zostały jedynie klocki hamulcowe do wymiany. Pewnie jeszcze by pojeździły, ale bezpieczeństwo ponad wszystko.

Do budynku przylegała drewniana szopa, która nie wyglądała już tak dobrze. To w niej kiedyś demontowano auta, była stara i trochę przekrzywiona, jakby nieuchronnie chyliła

się ku upadkowi. Nycz przeszukał ją teraz starannie, znalazł jakieś narzędzia, z którymi pewnie sobie poradzi przy odrobini wysiłku, ale nagle postanowił sprawdzić jeszcze w jednym miejscu. Na tyłach gospodarstwa stała wybudowana niedawno z drewnianych beli leśniczówka czy też – jak nazywał ją Orzeł – domek myśliwski. Jego ludzie mieli przykazane, żeby trzymać się od niej z daleka. Tam mieszkali goście z zagranicy, których ich szef przyjmował często na popijawy i polowania. Bywały tam też kobiety, ale Orzeł kiedyś szepnął mu na ucho, że byłoby dla niego lepiej, gdyby żadnych kobiet tu nie widział, więc przestał zwracać na nie uwagę. Orzeł miał wyjątkowy dar przekonywania. Wystarczyło, żeby raz spojrzął na człowieka, i wszystko było załatwione tak, jak on sobie życzył.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



bukowy.las

www.bukowylas.pl

**KUP TERAZ**



swiatksiazki.pl



## NAJBARDZIEJ PODNIECAJĄCE SĄ POLOWANIA NA LUDZI

Bytów. W lesie zostaje znalezione ciało miejscowego pijacka. Aspirant Adrian Szot nabiera podejrzeń, gdy jego koledzy próbują zatuszować sprawę. W toku śledztwa trafia na nazwisko Jakuba Bońskiego, który może być związany z domniemanymi polowaniami na ludzi.

Kraków. Podejrzany o zabójstwo znanego lekarza były kapitan MO Marek Piekło uparcie odmawia składania zeznań – zgadza się na rozmowę jedynie z nadkomisarzem Zakrzewskim. Zajmujący się sprawą prokurator dokłada wszelkich starań, aby przekonać policjanta do współpracy.

W jaki sposób oba śledztwa łączą się z wydarzeniami z przeszłości? Czy polowania na ludzi są najściślej strzeżoną tajemnicą elit? W tej sprawie Zakrzewski może ufać tylko sobie...



[bukowylas.pl](http://bukowylas.pl)

Cena: 49,90 zł